

II miejsce:

Bartłomiej Nowak,

Dzierżoniów; I Liceum Ogólnokształcące
nauczycielka – Barbara Rymarska

U WAS W POLSCE TAK NIE MA- CZYLI RZECZ O MIMOWOLNYM POZNAWANIU DANII.

Dotarłem do Glamsbjerg i mieszczącej się tam szkoły z internatem- celu mojej podróży, po katorżniczej, wysysającej siły vitalne busowej eskapadzie. Stawiając pierwsze kroki na duńskiej ziemi miałem obolałe nogi i głowę przepelnioną nawpółlegendarnymi opowieściami nauczycieli o poprzednich wyjazdach.

Jak się później okazało pobyt tam wykraczał daleko poza sztywne ramy tzw. „wymiany uczniowskiej”. Ludzie nie byli plastikowymi figurkami, a postaciami z krwi i kości. Sytuacje i emocje nie były suche i wyjąłowione z prawdziwości, ale szczere i spontaniczne. Wreszcie, ja nie byłem odizolowanym „obcym”, a stałem się jednym z nich, będąc w epicentrum zdarzeń i mając świadomość nieuniknionych kolizji światopoglądowych, kulturowych, moralnych...

Szok kulturowy nr jeden- rodzina

Polskie sacrum w wersji duńskiej prezentuje się nader alternatywnie, a kontakty pomiędzy poszczególnymi członkami rodziny to, jak na nadwiślańskie warunki, wymyślna awangarda.

–W domu było nas siedmioro- zaczyna Miki, wzorowy uczeń, „rodzynek” posiadający normalną(czytaj: pełną) rodzinę. –Teraz zostałem tylko ja i moja najmłodsza siostra. Mieszkamy na wyspie, gdzie są dwa sklepy, jedna stacja benzynowa, a od następnego gospodarstwa domowego dzieli nas parę kilometrów. Raz na jakiś czas mamy zjazdy rodzinne. To jedyna okazja, by spotkać wszystkich w komplecie. Niektórych braci nie widziałem ponad dwa lata, ale wiem, gdzie mieszkają- zastrzega Miki. Nie widać jednak przy tym jakiegos zmartwienia zaistniałą sytuacją.

Taki sam ton wypowiedzi usłyszeć można od innych uczniów glamsbjergskiej szkoły, spośród których większość jest posiadaczami dwóch rodzin, jak Jonas zagadnięty przeze mnie podczas przerwy w zajęciach szkolnych. –Jeden weekend jestem u rodziny taty, a drugi u rodziny mamy, którzy żyją w nowych związkach. Ma to duże zalety, bo każde z nich chce pokazać się z jak najlepszej strony i przez to mogę liczyć na same atrakcje- mówi chłopak, jakby nie zauważając całego dyskomfortu psychicznego, balansowania, niepewności wynikającej z takiego położenia.

Jeszcze bardziej pogmatwana sytuacja ma miejsce u Arnego- potężnego, ubranego w dresy chłopaka, z którym, z racji tego, że był moim „duńskim opiekunem”, miałem najwięcej okazji do spokojnej rozmowy. Arne mieszka w Odense, trzecim co do wielkości mieście Danii. Żyje wraz z mamą-Judit i jej przyjacielem- Janem. O rodzinie mojego „hosta” dowiadywałem się stopniowo. Od czasu do czasu rzucał coś mimochodem, jakby od niechcienia.

Pewnego dnia, znudzony oglądaniem duńskiej TV, zacząłem ostentacyjne szperanie w rzeczach znajdujących się na jego biurku. –To dla mnie bardzo ważna pamiątka- powiedział, gdy w moich rękach znalazły się słuchawki od walkmana. –Dlaczego?- spytałem. –Mój ojciec miał je na sobie, kiedy popełnił samobójstwo i znalazłem go w pokoju- usłyszałem w odpowiedzi i zamilkłem. Nie spodziewałem się aż takiej otwartości. Arne idąc za ciosem zaczął pokazywać mi pamiątki po swoim tacie: stare monety, płyty itp. Jak się później dowiedziałem, śmierć ta miała miejsce cztery lata temu. W domu natomiast wszędzie widoczne były zdjęcia Judit z Janem. Powiązałem to (trafnie zresztą) ze znikomym, ograniczającym się do porannego przywitania, kontaktem Arnego z matką i jego lekceważącym wręcz stosunkiem do jej obecnego partnera. Równie silnym wstrząsem dla mojej polskiej, konserwatywnej mentalności była reakcja Jana na śmierć swojego ojca, która miała miejsce w mój ostatni dzień pobytu u Arnego. Spodziewałem się żałobnego nastroju, a co zobaczyłem?- spokój, opanowanie. Jak gdyby nigdy nic pojechaliśmy tego samego dnia na lody do miasta, podziwiając przy okazji przypadkowo napotkany uliczny festyn. Były śmiechy, radość, nieomal sielankowa atmosfera. Widząc moje zdziwienie, Arne pospieszył z wyjaśnieniami. –Janowi bardzo ciężko dogadywało się z ojcem, chyba nie lubili się za bardzo. Zresztą praktycznie nigdy o nim nie wspominał- powiedział, co, w jego mniemaniu, było odpowiednim uzasadnieniem takiej sytuacji.

Zupełnie jednak inaczej rzecz ma się z babcią, którą „mój” Duńczyk ściska co rusz i o której wyraża się w samych superlatywach. Jak nigdzie indziej, w całych jego skomplikowanych kontaktach z rodzinnym otoczeniem widać między nimi naprawdę wielkie uczucie, wzajemny szacunek i radość ze spotkań.

Kojący opatrunek na moją nadwreżoną psychikę.

Wstrząs drugi- sodomia i gomoria, czyli swoboda obyczajowa

„Możecie uprawiać seks na terenie szkoły, ale pamiętajcie o odpowiednim zabezpieczeniu”- zdanie to zawiera esencję prawie godzinnego wykładu dyrektora szkoły w Glamsbjerg dotyczącego obyczajowości i intymnych sfer życia uczniów. Najdobitniej ukazuje ono przepaść mentalną w edukacji dzieci jaka dzieli nas od skandynawów oraz, co za tym idzie, podejście samych zainteresowanych do tego tematu. Biorąc pod uwagę, że dziewczyny będące uczennicami tej szkoły liczyły około szesnastu wiosen, ich otwartość i swoboda bycia w reakcyjnej Polsce spotkałyby się niewątpliwie z publicznym napiętnowaniem. Jednak „co kraj to obyczaj”, stwierdzili co niektórzy z męskiej grupy polskiej ekipy i wykazali elastyczność, szybko adaptując się do nowych warunków. –Seks jest u nas normalną czynnością fizjologiczną i traktowany jest głównie w sferze przyjemności. Nic poza tym- opowiada mi Arne, w którego słowach z biegiem czasu odnajdywałem coraz więcej prawdy.

NIE MOŻESZ ŁAMAĆ ZASAD- kolejne zdanie-klucz w duńskiej szkole, jakie wtłaczane było mi do głowy przez cały wyjazd. A zasady były proste: zero picia, palenie tylko w dozwolonych miejscach, obowiązek bycia w swoim domku już o dziesiątej wieczorem, itp. itd. Co zaskoczyło mnie jednak najbardziej, każdy z uczniów trzymał się ich z uporem maniaka. Żadnego odstępstwa od wyśrubowanej normy, beztronskiego zlekceważenia nakazów. Po prostu nic- pełne posłuszeństwo. Dla Polaka, który kombinatorstwo i kręctwo wyssał z mlekiem matki, taka postawa mogła spotkać się tyleż ze zdziwieniem co z dezaprobatą.

Czego nie wolno jednak robić w obwarowanej zakazami i nakazami szkole, można dokonać podczas weekendu spędzanego poza nią, który dla wielu uczniów jest wielkim haustem wolności. -Czy mogę przymierzyć twoje okulary?- zdanie, które jak mantrę powtarzała Inde, pijana do nieprzytomności dziewczyna spotkana na imprezie, dźwięczało mi w uszach cały wieczór. Obficie okolczykowana, z ostrym makijażem, była gotowa przespać się z byle kim. Miała niecałe piętnaście lat. Pod mostem, w parku pieszczotliwie nazywanym Adventure garden na spontanicznie zorganizowanej imprezie spotkać można było więcej takich osób, w tym sporo uczniów glamsbjerskiej szkoły i jednego mojego, czującego „klimat” spotkania, krajana(mniejsza o nazwisko). Teoretycznie jeśli nie była to elita, to na pewno nie margines duńskiej młodzieży. Jej pijacki przemarsz przez miasto, ekscesy z zatrzymywaniem rowerzystów, przechodzeniem niektórych imprezowiczów na czerwonym świetle, wywracaniem się na żywo płoty uderzyły mnie o wiele głębiej niż mógłbym przypuszczać we wszelkiego rodzaju symulacjach. -Jeśli chodzi o te sprawy prawo w Danii jest bardzo liberalne. Masz skończone szesnaście lat, to możesz wziąć flaszkę i iść w miasto i nikogo, absolutnie nikogo to nawet nie ruszy. Możesz wrzeszczeć, kłać i nic- tłumaczy mi Arne, widząc ogrom mojego zdziwienia. Zaraz potem na jego twarzy pojawia się sarkastyczny uśmiešek. -Co, u was w Polsce tak nie ma?- zadziornie triumfuje mój host. -OK., ale co będzie jak wrócą w takim stanie do domu?- zapytałem. -Nic. Najprawdopodobniej nie spotka ich za to wymówka ze strony rodziców- spokojnie oznajmił Duńczyk, zaraz potem dodając: -U mnie jest inaczej. Moja mama jest bardziej restrykcyjna, poza tym popatrz na nich, sami proszą się o kłopoty wracając w takim stanie. Tylko ściągają na siebie uwagę różnych nieciekawych typków. Zostawmy ich, bo inaczej jeszcze źle na tym wyjdziemy- zaproponował Arne i tym samym opuściliśmy wesołe towarzystwo polsko-duńskie.

Humor i wzajemna „edukacja językowa”- stały lejtmotyw

Dla przeciwwagi i odciążenia od poważnych tematów społeczno-obyczajowych przywołać można wspólną płaszczyznę porozumienia i budowania relacji ze skandynawami- różnorodność języków. Przodowali w tym Duńczycy, którzy cały czas, seryjnie zadawali nam pytania z cyklu: jak jest „proszę” czy „dziękuję” po polsku. Nie ukrywali frajdy jaką sprawiała im próba wypowiedzenia karkołomnego „chrząszcza, który brzmi w trzcinie w Strzebrzeszynie”. Takie oto niezbyt inteligentne dyskusje potrafiły zapełniać nam czas nocami, sprawiając iluzoryczne wrażenie jakiejś więzi. Nie ma co jednak ukrywać. O ile dla nas pobyt tam był nie lada atrakcją i życiową przygodą, o tyle dla naszych gospodarzy wyjeżdżaliśmy my- przyjeżdżali następni. -Przed wami byli Włosi i Czesi, a następni są najprawdopodobniej Francuzi- rozpoczął szybkie wyliczanie Kale.

Serdeczne uściski, braterskie poklepywanie po plecach, wspólne zdjęcia, urzędowy smutek, no i oczywiście cała gama „gud laków” i „hew e najs tripów” na do widzenia. Pożegnano nas w iście sielankowej scenerii i atmosferze nijak mającej się do ogólnego uczucia obojętności naszym losem, zakrytego przez tzw. poprawność polityczną- skuteczny makijaż. Makijaż, który nie zawsze był i chciał być odporny na działanie polskich czynników zewnętrznych.

Wanda Dybalska

Szkoła w Glamsbjerg to osobliwe miejsce, gdzie można natknąć się w równej mierze na barczystego dresa, jak i anemicznego erudyte. Młodzież się w niej uczyca nie jest Danią w pigułce. Podsumowanie, ocenienie jej jednym lapidarnym stwierdzeniem byłoby co najmniej oznaką zawężonego do minimum zmysłu obserwatorskiego.

Przybyłem, zobaczyłem, wróciłem. Wróciłem- co może nie wynika z tego artykułu- ani wstrząśnięty, ani zmieszany. Potomkowie wikingów zaoferowali mi wejście w tryby swojego własnego życia. Jedyne namiastkę tego, co prawdziwe i co nie jest ani gorsze, ani lepsze od mojej egzystencji- tylko po prostu inne. No i kto teraz powie, że podróże nie kształcą?